

Jacek, Kasia
i ich Msza

Piotr Giertych

**Jacek, Kasia
i ich Msza**

Wydawnictwo Giertych (LOGO)
Warszawa 2018

Redakcja

Redakcja techniczna

Projekt okładki

Skład i łamanie

Copyright Piotr Giertych

ISBN

Wydawnictwo Giertych
Warszawa 2018

*K*iedy pisałem tę książkę, a trwało to cztery lata,
a właściwie krótkie tygodnie urlopu w ciągu tego okresu,
modliłem się za jej czytelników, dużo się modliłem.
I pozostaję w nadziei, że oni odwdzięczą się tym samym.

Choć jest to książka dla dzieci, dedykuję ją dzielnym
Mamom, które decydują się na kolejne dziecko.

Czwarte dziecko wspaniałej Mamy.

Rozdział I

Jacek

Mam na imię Jacek, a nazywam się Różyc. Zazwyczaj jestem wesołym chłopcem, ale tak naprawdę też trochę smutnym. Smutnym, bo nie mam rodzeństwa, a bardzo chciałbym mieć. Pewnie mnie już znasz, bo mieszkam blisko Piotrka i Ani, w Wawrze, w południowo-wschodniej części Warszawy. Razem z Piotrkiem Kolińskim przygotowywaliśmy się do Pierwszej Komunii i przyjęliśmy ją niedawno. Z Piotrkiem bardzo lubię grać w piłkę i w ogóle bawić się razem, bo chodzimy do tej samej klasy i spędzamy razem mnóstwo czasu. U Kolińskich zawsze dzieje się coś śmiesznego, więc miło się tam przebywa.

Gram z Piotrkiem w jednej drużynie piłkarskiej i najczęściej wygrywamy mecze, chyba że nauczyciel doda nam do drużyny jakiego słabeusza, co zdarza się czasami. W sumie nie dziwię się nauczycielom – wszyscy przecież muszą grać, nawet słabeusze. Jak mówi pan wuefista, trzeba ćwiczyć tężyznę fizyczną u wszystkich, więc czasami dołączają nam takiego gracza, że nie ma szans i się przegrywa. Ale to nic, bo po południu zawsze mamy jeszcze czas, aby zagrać już bez słabeuszy, i wtedy wygrywamy. Piotrek i ja grywamy w ataku,



podajemy sobie często i to przynosi efekty – gole. Wtedy przybijamy sobie „piątkę” i jesteśmy bardzo z siebie zadowoleni. Jesteśmy lepsi od drużyny Grześka. Oni wprawdzie też często wygrywają, ale my jesteśmy lepsi. Oni mają Franka, który jeden wart jest więcej niż cała ich drużyna, bez niego nie mogliby wygrać ani jednego meczu.

W sumie to szkoda, że nie mam rodzeństwa. Bardzo bym chciał. Nawet kiedyś powiedziałem rodzicom, że bym bardzo o takiego braciszka lub siostrę dbał, że pomagałbym dużo, że będą mogli na mnie liczyć, że będę się troszczył jak o największy skarb. Ale nie wiem, dlaczego nie mam rodzeństwa. Tata mówił mi, że mama jest trochę słaba i dlatego nie mają kolejnego dziecka. Dlatego tak bardzo lubię chodzić do Piotrka, on ma młodsze rodzeństwo i dzięki temu jest tam bardzo śmiesznie. Czasami robimy im psoty. Ostatnio na przykład powiedzieliśmy Ani i Jankowi, że będziemy się bawić w chowanego, a ja miałem szukać. Tyle że potem z Piotrkim postanowiliśmy, że uciekniemy, sami się schowamy na poddaszu i będziemy bawić się samochodzikami. Ania była wściekła, bo nasiedziała się w niewygodnej pozycji w szafie. Ale potem jej przeszło. Janek to nawet nie zauważył, że się zabawa zmieniła, bo zasnął w koszu na brudne ubrania – szczęście, że go zobaczyliśmy, zanim pani Agnieszka zaczęła wrzucać pranie do pralki.

Innym razem namówiliśmy Janka, aby zjadł kromkę chleba z pastą czekoladową, ale przed jej nałożeniem wysypaliśmy na chleb mnóstwo soli, tak że Janek wypluł to, co ugryzł. Śmiechu było dużo, ale skończyło się źle, bo pani Agnieszka się zagniewała i powiedziała, że jedzeniem nie wolno się bawić, bo to grzech je marnować, gdy na świecie są głodujące dzieci. Ma rację, co tu mówić. Było nam głupio i obiecaliśmy, że nigdy tak już nie zrobimy. I rzeczywiście, od

tego czasu nie używamy do zabaw jedzenia. Kiedyś w szkole widziałem prezentację siostry zakonnej, która opowiadała nam o Afryce i pokazywała zdjęcia z głodnymi dziećmi. W Afryce czasami nic nie mają do jedzenia albo jedzą jakieś gąsienice, żywe lub ususzone – wstrętne. Głupio wyszło z tą pastą czekoladową. Teraz już wiemy, że tak nie można.

No, w ogóle u Kolińskich to śmiechu jest dużo. Pani Agnieszka ciągle się śmieje i bardzo lubi anegdotki, które przynoszą ze szkoły dzieci albo ich mamy. Na przykład rezolutna Ania na religii, gdy ksiądz zadał pytanie, czy Aniołowie to mężczyźni czy kobiety, powiedziała mądrze, że „nie wiadomo, bo zawsze są ubrani”. Pani Agnieszka śmiała się i powiedziała, że to dopiero byłby skandal, gdyby się Aniołowie rozbierali do naga. A przecież ja wiem od pana katechety, że to bzdura. Bo Aniołowie wcale nie mają ciała ani ubrań. Anioł to duch. Ale pani Agnieszka bawiła się świetnie. Kiedyś opowiadała, jak na kolędzie ksiądz chciał sprawdzić Janka, czy umie powiedzieć „Szczęść Boże” albo „Z Bogiem” na pożegnanie, i spytał: „Co się mówi, jak ksiądz wychodzi po wizycie?”. A Janek na odchodne palnął bez namysłu: „Bogu niech będą dzięki”. Czyli że dziękujemy, że wreszcie wyszedł. No i znów śmiech. Bo to przecież nieelegancko, ale dzieciom wolno, jak mówi pani Agnieszka.

W tym roku byłem u Pierwszej Komunii. To było wspaniałe, cudowne i takie radosne. Choć dla mnie też trochę smutne, bo prosiłem Pana Boga, aby mi dał jako prezent komunijny rodzeństwo, ale się nie udało. Dostałem za to kilka ładnych pamiątek. Pan katecheta mówił na lekcjach, że po Komunii nie chce słyszeć nic o prezentach, bo największym prezentem jest sam Pan Jezus. Ponoć rodzice z klasy się umówili, że dzieciom nie będą dawać prezentów innych niż

pobożne książki, obrazki, medaliki. Albo że jako prezent każdy gość poświęci trochę czasu dziecku i pokaże mu jakieś przydatne w życiu umiejętności. Jeden z dziadków zabrał wnuczka do sądu, wujek pokazał, jak się zmienia koła w samochodzie, ciocia nauczyła doić krowę, a ktoś inny upiekł chleb. Fajny pomysł. W każdym razie chodzi o to, aby dać coś naprawdę od siebie, a nie coś kupionego. U mnie też tak było. Może to trochę szkoda, bo marzyłem o tablecie, a tu nic. Dostałem tylko od wujka trochę pieniędzy, ale tata powiedział, że je schowa i będzie trzymał, jak będę chciał kupić coś większego, to wtedy je wyciągnie. Z komputera lub tabletu tobym się cieszył od razu, a tak trzeba czekać. Piotrek też chciał komputer, ale potem mu przeszło. Zresztą u Piotrka jest więcej rzeczy, które można robić, i są fajniejsze niż komputer. Szczególnie modelarnia. Tata Piotrka lubi sklejać modele samolotów, a wie o nich prawie wszystko, te z drugiej wojny światowej to ma w jednym paluszku, potrafi mówić o bitwach, które stoczyły, i o ich wszystkich parametrach, a mówi tak ciekawie, że warto słuchać. Nam też pomaga sklejać i ja sam już złożyłem niemieckiego messerschmitta, dwusilnikowego. Fantastyczny. Chciałbym zrobić całą eskadrę, ale na razie zająłem się spitfire'em angielskim. To dużo zwrotniejsza maszyna, a w dodatku bliska Polakom, bo na niej latał słynny Dywizjon 303, który zasłynął w bitwie o Anglię. Wiem, bo czytałem o nim książkę.

W szkole powoli kończył się rok nauki, ale zanim rozpoczęły się wakacje, jeszcze sporo się działo, o czym dowiesz się, gdy przeczytasz tę książkę.

Rozdział 2

Biały Tydzień

W pierw był Biały Tydzień po Komunii Świętej. Tydzień pełen wrażeń, bo każdego dnia mogliśmy przyjmować Pana Jezusa do naszego serca. Za każdym razem prosiłem Go o rodzeństwo. Na pewno kiedyś będę miał, ale na razie nie mam. Ponadto Biały Tydzień sprawił, że staliśmy się detektywami. A było to tak:

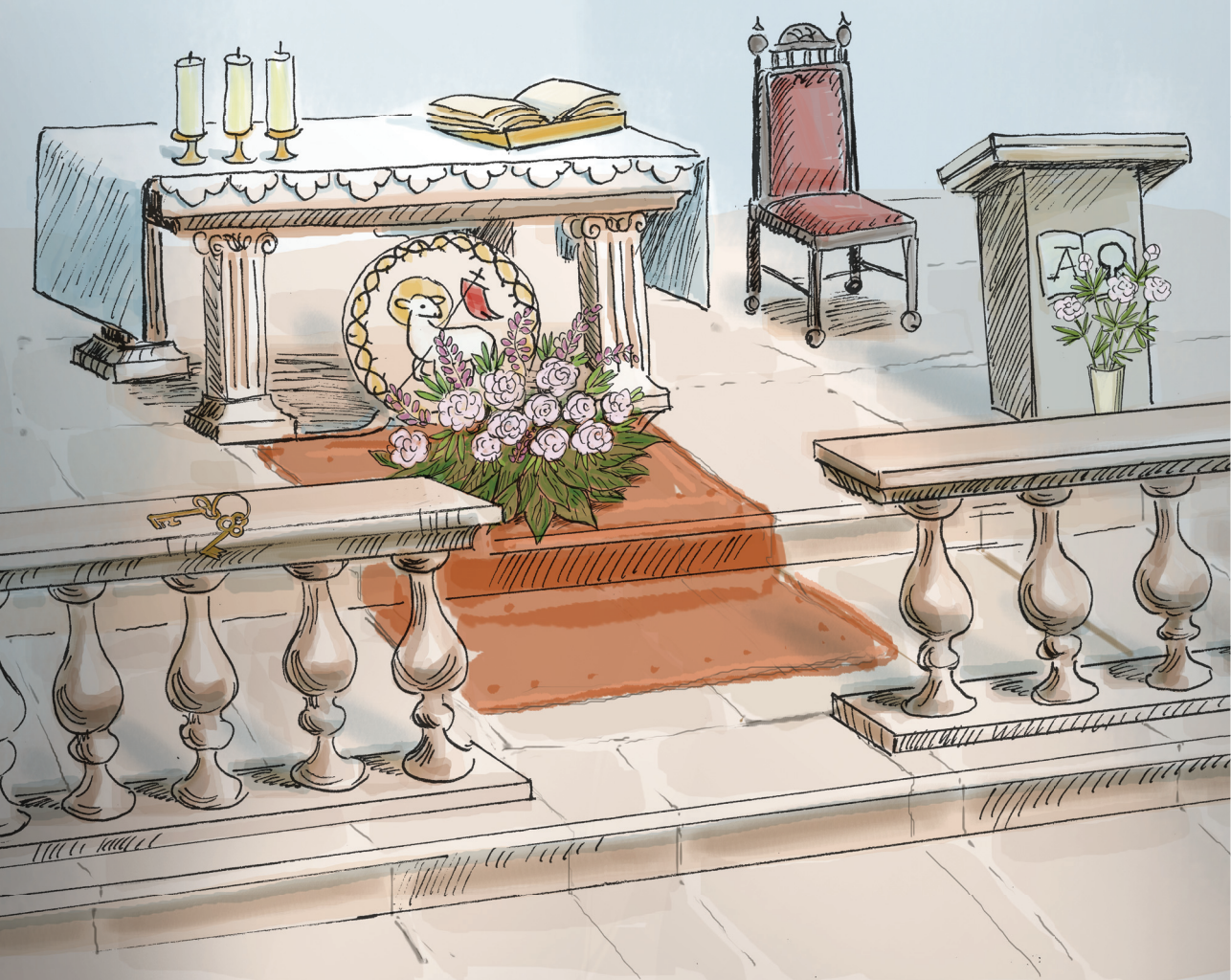
– O czym tak rozprawialiście po Komunii? – spytał uczniów groźnym jak burza głosem katecheta na korytarzu tuż przed lekcją religii. Zobaczyć katechetę tak zdenerwowanego, nie było łatwo.

W Białym Tygodniu mieliśmy codziennie Mszę Świętą w szkole, w której uczestniczyli wszyscy uczniowie klas komunijnych i rodzice. Na koniec Mszy odbywało się dziękczynienie, kilka minut w ciszy i wspólna modlitwa Duszo Chrystusowa. Katecheta pilnował, aby wszyscy byli skupieni w czasie tych kilku chwil, bo przecież Pan Jezus jest wtedy w nas, bliżej niż kiedykolwiek, musimy zatem wykorzystać te parę minut na rozmowę z Nim. Denerwował się, gdy któryś z uczniów nie wytrzymał i zaczynał szturchać kolegów czy wygłupiać się. A dziś przebrała się miarka.

Skulone głowy potwierdzały, że uczniowie są świadomi przestępstwa.

– No, słucham, przedtem tak byliście rozgadani, a teraz nie macie już sił do rozmowy? – głos katechety nabierał emocji. Chłopcy wiedzieli, że pan katecheta w czasie lekcji nie denerwował się nigdy, ale gdy ktoś przeszkadzał w czasie Mszy, nie było szans na litość.

– Słucham. Mam tu długo czekać? – nalegał.



Pierwszy odezwał się Staszek, cicho, z wyraźną nutą wątpliwości.

– Bo, bo, ... Grześ nie był u Komunii – wydusił w końcu z siebie.

– A wam co do tego? – katecheta podniósł głos z nieukrywanym wzburzeniem. Niestety nie mógł zbyt długo kontynuować, bo zegar wskazał na rozpoczęcie lekcji, a w sali już zaczęło się rozproszenie wynikające z braku nauczyciela w środku. – Czym wy się w ogóle zajmujecie w kaplicy? Nie wiecie, że przyjęliście Boga do serca?

Tu musiał przerwać, bo gwar z klasy stawał się zbyt głośny.

– Jazda do środka - jeszcze porozmawiamy.

W czasie lekcji katecheta postanowił wyjaśnić jeszcze raz temat postu eucharystycznego, a przy okazji powiedzieć coś o szacunku do wolności ludzi, którzy nie muszą przyjmować Komunii, jeżeli nie są przygotowani lub nie chcą.

– Kto z was nam przypomni, co to jest post eucharystyczny? – spytał uczniów.

Janek zgłosił się pierwszy.

– Post eucharystyczny to znak szacunku dla Pana Jezusa. Polega na tym, że na godzinę przed Mszą Świętą nie jemy ani nie pijemy niczego prócz wody, chyba że ktoś jest chory – wyrecytował z pamięci, z dumą w głosie, że pamięta.

– Bardzo dobrze Janku. Kiedyś post eucharystyczny był znacznie dłuższy, bo trwał od północy aż do Mszy. Dlatego jak ktoś mógł, to szedł na Mszę rano, bo inaczej nie mógłby przystąpić do Komunii Świętej albo musiałby czekać wiele godzin, będąc głodnym.

– A powiedzcie mi, czy iść na Mszę i nie przyjąć Komunii to grzech? – spytał uczniów.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nikt nie wiedział, a większości taka ewentualność nawet nie przyszła do głowy. Przecież po to przygotowywali się przez cały rok, aby teraz przyjmować Pana Jezusa najczęściej, jak tylko można.

– No, nie ma odważnego? Może zrobimy głosowanie. Kto jest za tym, że to grzech, ręka w górę.

Nikt się nie odważył podnieść ręki.

– A kto jest za tym, że to nie grzech?

I znowu nikt nie podniósł ręki.

– No, widzę, że moje metody sondażowe nie są zbyt skuteczne – zaśmiał się pan katecheta. – Rzeczywiście nie jest to łatwe. Ale wyjaśnię. Po pierwsze: przyjmowanie Komunii Świętej jest bardzo dobre, bo daje nam łaskę od Boga, łączy z Panem Jezusem, umacnia nas w walce, a nawet wybacza winy. A zatem jest to coś bardzo dobrego, a nawet można powiedzieć, że nie ma lepszej rzeczy na Ziemi niż ta właśnie. Kościół nakazuje przynajmniej raz w roku przyjąć Komunię Świętą w okresie wielkanocnym. To takie minimum, żeby przeżyć. Ale wiemy, że to za mało, że potrzebujemy więcej. To tak, jakby ktoś jadł raz na tydzień. Da się przeżyć. Pewnie tak, ale nie będzie się miało sił do pracy.

– A jak ktoś je raz na tydzień, to nie umiera szybko? – spytał ktoś z sali.

– Masz rację, pewnie szybko umrze. Nie radzę próbować!!! – dodał z uśmiechem. – W przypadku duszy też może nastąpić jej śmierć, polegająca na tym, że przestanie ona mieć jedność z Bogiem. Dlatego Kościół zachęca, aby często przystępować do Komunii. A powiedzcie mi, kiedy ktoś nie powinien przystępować do Komunii?

– Jak jest jeszcze za mały – powiedział Antek.

– Kiedy nie jest jeszcze przygotowany – odparł Franek.

– Gdy zgrzeszył ciężko – powiedział Piotrek.

– Gdy jadł coś przed Mszą – dodał Janek

– Brawo. Pamiętacie prawie wszystko. Są jeszcze dwa przypadki, o których chciałbym powiedzieć. Jeden to druga Msza tego samego dnia. Wprawdzie Kościół pozwala w niektórych sytuacjach przyjąć drugi raz na dzień Komunię, ale to są wyjątki, na przykład, gdy ktoś rano był na Mszy, a potem uczestniczy w jakiejś Mszy okolicznościowej, w ślubie, pogrzebie, o której nie wiedział, że będzie.

Nikt z klasy o tym nie słyszał, więc wyraz zainteresowania pojawił się na twarzach uczniów.

– Chciałem skomentować także i drugi przypadek. Czasami niektóre osoby nie przystępują do Komunii, bo czują się nieprzygotowane. Mają wątpliwości, czy popełniły grzech ciężki. Albo miały jakąś kłótnię i jeszcze są pełne emocji, więc nie chcą, z szacunku do Pana Jezusa, przyjąć Go, będąc w takim stanie. To nie są dobre sytuacje. Wątpliwości należy wyjaśnić na spowiedzi czym prędzej, a nad emocjami należy panować. Pan Jezus jest tak dobry, że nie martwi się naszymi niedoskonałościami. On wie, że nigdy nie będziemy idealnie przygotowani na spotkanie z Nim, ale się tym nie przejmujemy. Jedynie grzech ciężki tak bardzo niszczy naszą duszę, że za żadną cenę nie powinniśmy przystępować do Komunii. Trzeba iść wpierw do spowiedzi. Nie jest grzechem uczestniczenie w Mszy i nieprzyjmowanie Komunii. Pan Bóg szanuje naszą wolność. I nikogo to nie powinno dziwić ani interesować zbytnio. Gdy ktoś nie może iść do Komunii, ma szansę wyrazić chęć przyjęcia Pana Jezusa i wzbudzić w sobie miłość za pomocą tak zwanej Ko-

munii Duchowej. W ten sposób, gdy w końcu przyjmie Go do siebie, będzie to robił z głębszą świadomością i większą delikatnością. Przyjęcie Pana Jezusa do serca to wielki dar. Powinniśmy być bardzo wdzięczni Bogu, że zechciał nam się dać w taki sposób. Dlatego też staramy się zawsze dobrze przygotować do przyjęcia Komunii. Kiedyś słyszałem takie porównanie, że dobrze jest myśleć o Mszy i Komunii jak o wydarzeniu, które odbyłoby się tylko raz w życiu, czyli uczestniczylibyśmy po raz pierwszy i ostatni jednocześnie. Jakby tylko tego dnia było mi dane przyjąć Pana Jezusa, a potem już nigdy więcej. Gdyby rzeczywiście był to ten jeden jedyny raz to na pewno przygotowalibyśmy się do przyjęcia Go najlepiej, jak tylko potrafimy. Warto często przyjmować Pana i starać się rozgrzać swoje serce, aby było one gotowe na przyjęcie tego największego daru.

Lekcja się kończyła. Ale Staszek, Antek, Franek i Piotrek wiedzieli, że katecheta nie zapomniał o kontynuacji rozmowy z nimi. I rzeczywiście za chwilę odezwał się głos wymieniający ich z imienia i przywołujący do biurka katechety. Pozostali uczniowie wyszli.

– Panowie – zaczął katecheta – mam nadzieję, że w czasie lekcji już dużo wyjaśniłem. Chciałem się dowiedzieć, czy ten wasz proceder kontrolowania, kto idzie lub nie idzie do Komunii, ma jakąś dłuższą historię.

Chłopcy milczeli ze spuszczonej głowami. Pan katecheta nalegał.

– Podnieście głowy, chcę wam spojrzeć w oczy.

Powoli podnieśli. Mieli niewyraźne miny i katecheta się zorientował, że coś jest na rzeczy.

– Słucham – znów nalegał – nie ukrywajcie przede mną, bo to tylko przedłuży sprawę.

– Ja tylko dziś się odwróciłem na chwilę – wyjąkał Piotrek, który był najmniej zaangażowany w sprawę.

– Słucham – nalegał katecheta na kolejnych chłopców.

Tym razem Franek pociągnął zdecydowanie.

– Bawiliśmy się w detektywów – powiedział z trudem.

– I co, tropiliście tych, którzy nie przystępują do Komunii?

– Tak, tu mamy listę – powiedział Staszek, pokazując wymiętaloną kartkę, którą wyciągnął z kieszeni.

Pan katecheta wziął ją i podarł na strzępy, nie czytając w ogóle, a darł przez dłuższą chwilę, aby zostały tylko małe kawałeczki, a następnie, co zupełnie zaskoczyło chłopców, bo nigdy wcześniej czegoś takiego nie widzieli, wyciągnął zapalniczkę i podpalił na ich oczach. Płonąca na talerzyku kartka szybko zmieniała się w popiół, a w sali zapachniało spalenizną. Chłopcy patrzyli na ogień jak zauroczeni, byli tak zaskoczeni, że nie potrafili zrozumieć, co się dzieje. Usta mieli otwarte ze zdziwienia, podczas gdy owoc ich prac detektywistycznych ulatywał z dymem.

– Panowie. Chyba staje się oczywiste, że sprawę uważam za zamkniętą. Nie życzę sobie czegoś podobnego więcej. I rozumiem, że się to nie powtórzy. Czy to jest jasne?

A gdy pokiwali głowami, potakując, kontynuował:

– Jeśli chcecie być detektywami, to dam wam zadanie trudniejsze i pożyteczniejsze. Chcecie?

Nagle chłopcy zrozumieli, że nie tylko sprawa ze szpiegowaniem osób idących do Komunii jest już zakończona, ale do tego może się zacząć jakaś nowa przygoda. Chórem więc odpowiedzieli:

– Oczywiście.

– To zbliżcie się do mnie i słuchajcie uważnie – powiedział katecheta cichym i tajemniczym tonem – dzieje się coś dziwnego i nie-dobrego w naszej kaplicy.

Uczniowie przybliżyli się jeszcze bliżej, tak że ich głowy prawie stykały się ze sobą. A nauczyciel kontynuował.

– Zauważyłem, że znikają komunikanty z pudełka w kaplicy. To znaczy te opłatki, które są przygotowane na Mszę i przed Mszą ministrant wkłada je do puszek i stawia na ołtarzu, aby ksiądz dokonał przeistoczenia. Otóż te w pudełku na parapecie powinny czekać spokojnie na kolejną Mszę, ale już któryś tydzień z rzędu zauważyłem, że brakuje około połowy. Ostatnio dokupiłem dużą paczkę, włożyłem do pudełka i po dwóch dniach zniknęła. Nie wiem, kto to może zabierać. Musi się to dziać w kaplicy, bo po Mszy wszystko jest sprzątane i wkładane do szafy pod kluczem i tam leżą inne paczki z komunikantami i nie giną, a te w kaplicy znikają. Ja nie mogę pilnować kaplicy cały czas, bo mam lekcje i inne obowiązki, ale wy możecie się tym zająć na przerwach. Bo sądzę, że dzieje się to w czasie jakiejś przerwy. Macie jakiś pomysł?

Chłopcy pomysłu nie mieli, ale z ich zaciekawionych twarzy było widać, że idea bycia detektywem bardzo im się spodobała. Katecheta przede wszystkim chciał, aby już przestali śledzić tych, którzy przystępują lub nie do Komunii, i aby jak najszybciej zapomnieli o tym procederze. Jakież było jego zdziwienie, gdy po dwóch dniach Franek przyszedł do niego z prośbą o krótką rozmowę w zacisznym miejscu.

– Wiem, kto kradnie komunikanty – wyszeptał podekscytowany.

– Naprawdę? Niemożliwe? Kto? – spytał nauczyciel.

– Maciek z 3a.

– Skąd wiesz?

– Widziałem przez dziurkę od klucza, jak podchodził do pudełka i zjadał komunikanty.

– Żartujesz – mówił z niedowierzaniem katecheta.

– Nie proszę Pana, niech Pan go spyta.

– No dobrze, spytam. Jeśli to prawda, będę chyba musiał dać ci jakąś nagrodę detektywa, ale dziwne, żeby Maciek tak postępował

– jest przecież ministrantem.

– Nie wiem, dlaczego to robi, ale mogę przysiąc, że widziałem, jak zjadał komunikanty dziś rano. Może Pan pójść i zobaczyć, czy jest ich tyle, ile było włożonych.

Razem poszli do kaplicy i rzeczywiście sprawdzili, że komunikantów brakuje. Pan katecheta wysłał Franka na lekcję, a sam poszedł do 3a, szukać Maćka.

Poprosił Maćka, aby wyszedł z lekcji i poszli do małego pokoju, aby porozmawiać.

– Maćku, powiedz mi, co ty robisz czasami w kaplicy, gdy jesteś sam – spytał, gdy już siedli w pokoju.

– Ja? Ja nic nie robię – powiedział Maciek, ale od razu było widać, że jest zmieszany i że chce coś ukryć.

– Na pewno nic? – spytał katecheta.

– Na..... pewno.

– I co, modlisz się chwilę i potem wychodzisz, tak?

– Tak – powiedział z przekonaniem Maciek, mając nadzieję, że już sprawa się kończy.

– A do pudełka z komunikantami nie zaglądasz czasami?

Maciek zamarł. Całe jego ciało jakby stało się z marmuru, a po chwili powiedział:

– Nie, to nie ja, ja nic złego nie zrobiłem – tu już nie wytrzymał i zaczął płakać.

– No dobrze, już możesz się uspokoić. Powiedz mi, dlaczego zjadałeś komunikanty?

– Bo, bo... nie wiem. Ja nie chciałem zrobić niczego złego.

– Ile razy je zjadałeś Maćku?

– Kilka razy.

– I ktoś jeszcze z tobą je zjadał? – spytał katecheta.

– Nie, ja sam – mówił, nadal płacząc Maciek.

– No dobrze. Wiesz, myślę, że chociaż to była zwykła głupota, to na pewno się Panu Bogu nie podobała i radziłbym, abyś się z tego wyśpowiadał. Komunikanty nie są Ciałem Pana Jezusa, więc nie jest to tak poważna sprawa, ale jednak sugerowałbym, abyś się z tego wyśpowiadał i przeprosił Pana za to, co zrobiłeś. No i oczywiście, abyś tego już więcej nie robił. Nie martw się. Dzieci mają czasami takie głupie pomysły, bo jeszcze się wiele muszą nauczyć. Jestem pewien, że bardzo kochasz Pana Boga i nie zrobiłeś tego ze złośliwości. Dlatego nie będę cię karał. Po prostu uznaj, że skoro żałujesz, to ja nie muszę już do tego wracać.

Maciek płakał nadal i powoli się uspokajał. Pan katecheta dał mu chusteczkę do nosa, a potem pokazał mu jedną z książek z półki, żebyby zmienić temat i żeby Maciek mógł się uspokoić zupełnie i wyjść z pokoju z twarzą, po której nie dałoby się poznać przeżytych emocji sprzed chwili. I tak sprawa znikających komunikantów została wyjaśniona i zakończona.

Po sukcesie detektywistycznym Franek i jego koledzy byli bardzo dumni. Oczywiście mieli przykazane, aby w sprawie komunikantów z nikim więcej nie rozmawiać, ale zgłosili natychmiast swoją gotowość panu katechecie, aby dał im kolejne zadanie.

Katecheta był już na to przygotowany.

– Mam dla was kolejne zadanie. To będzie trudniejsze i będzie wymagało przeprowadzenia poważnych badań. To praca domowa na zbliżające się wakacje, tak naprawdę zadałem ją w starszych klasach, ale może wy z rodzicami też się w ten sposób pożytecznie zabawicie, skoro macie takie zdolności detektywistyczne.

Chłopcy bardzo się zaciekawili, tym bardziej że wyglądało na to, że katecheta traktuje ich naprawdę poważnie.

– W wielu kościołach w Polsce i za granicą, budowano kiedyś wzdłuż prezbiterium – wiecie, co to jest prezbiterium? – przerwał katecheta, jak to miał w zwyczaju na lekcjach.

– Tak – skinęli głową.

– Wzdłuż prezbiterium, gdzie przebywają duchowni, a przed częścią kościoła dla wiernych budowano balaski, czyli taką małą, ozdobną balustradę. Służyły one do klękania, kiedy przyjmuje się Komunię Świętą. W naszej kulturze klękanie jest znakiem uwielbienia, oddania czci, szacunku, poddaństwa, uległości, czyli w sam raz tak powinniśmy przyjmować Pana Jezusa. Balaski często były bardzo zdobione, niektóre zrobione z prawdziwym kunsztem, rzeźbione z drewna lub kute z metalu, i upiększały kościół. Na ich wierzch dla podkreślenia wagi momentu przyjęcia Eucharystii kładziono biały wąski obrus. Chodziło o to, żeby było piękniej, i żeby Hostia, gdy wypadnie księdzu z rąk, co się czasami zdarza, upadła na czysty obrus, a nie na podłogę. Do tego balaski miały jeszcze inną funkcję. Odgradzały prezbiterium od części dla wiernych w taki sposób, że nie przeszkadzało to w oglądaniu ołtarza, ale małe dzieci, które w kościele często nie mogą spokojnie wytrzymać i biegają, nie wbiegały do prezbiterium i nie przeszkadzały kapłanowi odprawiać

Mszę. Teraz takie balaski są mniej rozpowszechnione. W niektórych kościołach je usunięto, a w nowych nie buduje się ich, choć czasami tak. Rok temu otrzymałem informację z jednego kościoła, że w szopie w gospodarstwie, które jest położone obok kościoła, ponieważ rają się na strychu balaski. Pojechałem tam z przyjacielem architektem i zobaczyliśmy je. To były przepiękne dębowe, barokowe balaski. Były bardzo ciężkie, bo były w całości. Ktoś je zdjął i zostawił z boku, w czasie jakiegoś remontu, a potem uznano, że nie są potrzebne. Kupiliśmy je od gospodarza za grosze, zrobiliśmy renowację, która zajęła trochę czasu, ale to ulubione hobby mojego przyjaciela, więc robił to z niemałą przyjemnością, a następnie za zgodą proboszcza wstawiliśmy je do kościoła. Proboszcz nic nie wiedział o ich istnieniu, bo zdjęto je kilkadziesiąt lat temu i bardzo się ucieszył, gdy zobaczył, jak pięknie wyglądają po renowacji. To była naprawdę niezwykła historia, a balaski są tam do dziś. Udało nam się uratować coś pięknego i służy ono teraz innym. Ksiądz proboszcz w pierwszą niedzielę po zainstalowaniu balasek powiedział piękną homilię o tym, jak bardzo powinniśmy szanować Eucharystię i brać przykład z tych, którzy wymyślili i wprowadzili kiedyś te balaski. Historia ta jest jeszcze ciekawsza, bo po jakimś czasie kościół odwiedził lokalny konserwator zabytków i wpierw zrobił proboszczowi awanturę, że w starym kościele wprowadził jakąś nowość, której tam nie było. A potem, gdy proboszcz opowiedział mu całą historię, zdziwił się bardzo i przepraszał. Ksiądz proboszcz był dobrze przygotowany na takie rozmowy i nawet znalazł zdjęcia sprzed kilkadziesięciu lat, na których było widać te same balaski. Tak że konserwator zabytków tylko musiał podziękować, a potem wpisał do rejestru zabytku również balaski.

A teraz uwaga, opowiem wam, na czym będzie polegało zadanie dla was. Gdy będziecie podróżować w czasie wakacji, zwracajcie uwagę w kościołach, które odwiedzicie, czy są lub czy były tam balaski, czy jest obrus, a najlepiej jeszcze, gdybyście mogli zrobić zdjęcia, a co najmniej zapisujcie te miejsca, aby potem mi pokazać. Jeśli ktoś jest bardziej odważny, to może przejąć w całości zadanie dla starszych uczniów. Oni mają jeszcze pytać proboszczów, czy balaski były kiedyś w tym kościele czy nie. Na podstawie tych danych będziemy działać dalej – czyli tworzyć mapę kościołów z balaskami i poznawać historię danego kościoła. Porozmawiajcie z rodzicami, spytajcie, czy zgadzają się na takie zadanie, i dajcie mi znać, a ja wyślę im dokładną informację na temat tego nietypowego zadania, które jednak może być bardzo ciekawe i rozwijające.

– Co wy na to?

– Nadzwyczaj ciekawe – powiedział podekscytowany Piotrek. – Spróbujemy.

Radośni wyskoczyli ze szkoły na boisko, aby nie przepuścić okazji do rozegrania meczu bez udziału słabeuszy, czyli takiego na poważnie, gdzie każda akcja się liczy i błędów nie może być.

Rozdział 3

Plany na wakacje

Po Białym Tygodniu wszystko wróciło do normalnego rytmu szkolnego. Tylko że po takich wydarzeniach i przy temperaturze, która pod koniec maja była bardzo wysoka, lekcje dłużyły się niemiłosiernie. W salach było nie tylko ciepło, lecz nawet gorąco, zdecydowanie za gorąco jak na możliwości uczniów, i każdy myślał tylko o przerwie lub o wakacjach. Po lekcjach spędzali mnóstwo czasu na boisku.

Na boisku stały małe grupki rodziców rozmawiających ze sobą i niezbyt spieszących się do wyjścia z terenu szkoły.

– Jacek kończ już, jedziemy do domu – zawołała pani Elżbieta do grającego w piłkę syna i odwróciła się do pani Magdaleny, aby omówić sprawę możliwych kwiatów i prezentów dla nauczycieli na koniec roku. Gdy na boisku toczyła się dalej nieprzerwana gra w piłkę, pani Elżbieta znów zwróciła się do Jacka, wołając.

– Jacuś jedziemy już.

– Mamo, jeszcze chwilę, jeszcze kilka akcji – odpowiedział szybko Jacek, który właśnie prowadził piłkę i nie w smak mu było przerywanie. Po chwili, gdy był aut, zdążył zauważyć, że mama nadal

rozmawia z panią Magdaleną, i że pewnie nie szybko skończą tematy. I w ten oto sposób wszyscy korzystali z miłej pogody, ciepłego słońka, które tak pięknie przebijało się przez liście wysokich drzew. Tak naprawdę nikomu się za bardzo nie spieszyło i chętnie przedłużiliby takie chwile.

Pewnego razu po powrocie do domu, wieczorem, Jacek i Piotrek bawili się w domu państwa Kolińskich, bo rozpętała się silna burza, więc nie mogli grać w piłkę, a zabawa polegała na obronie zamku, który Ania atakowała, rzucając w zamek miękkimi piłkami. W takim to momencie zabawy tata Piotrka przyniósł wspaniałą wiadomość.



– Siadźcie na chwilę na spokojnie przede mną – powiedział uroczyście, zwołując dzieci, a potem ogłosił radośnie – w tym roku pojedziecie na wakacje do Gniewu, do wujka Benedykta.

Dzieci aż pisnęły z radości.

– A Jacek też będzie mógł jechać? – spytał niepewnie Piotrek z troskany o swego najlepszego przyjaciela.

– Oczywiście, właśnie wracam od jego rodziców. Chętnie się zgodzili, ustaliliśmy termin i wszystko gotowe. Pojedziecie w drugiej połowie lipca i zostanieie tam na parę dni, a może dłużej.

Piotrek i Ania cieszyli się z tej możliwości, gdyż wujek Benedykt był ich ulubieńcem. Wujek Benedykt był rycerzem. Nie takim naprawdę, ale takim, który odtwarza historię. Miał w domu mnóstwo strojów i broni z minionych epok historii Polski. Co jakiś czas przebierał się w stroje z dawnych epok i odgrywał scenki z życia naszych przodków. A przy tym bawił się wyśmienicie. Był prawdziwym pasjonatem historii. Wiedział o niej wszystko, a opowiadał tak kwieciście, że nie chciało się nigdy przerywać jego gawęd. Przyznać też trzeba, że wujek Benedykt był nieco oryginalną postacią, która, obdarzona wielkim sercem zjednywała sobie przyjaciół, mimo że niektóre jego zachowania mogły być uznane co najmniej za przestarzałe, jeśli nie dziwne.

Piotrek, który bardzo lubił się wygłupiać i odtwarzać scenki teatralne, wstał, podszedł do Ani z jedną ręką za plecami, naśladując wujka i starając się nadać niski ton swemu głosowi, skłonił się w pas z gestem wielmożnego pana i powiedział:

– Szlachetna niewiasto, podaj mi proszę dłoń swoją delikatną, abym mógł uszanowanie ci złożyć, godne twego macierzyństwa – i chwyciwszy rękę Ani, ucałował ją, mruczając przy tym wymownie, idealnie imitując wujka.

– Wielce szanowny i miły panie – odrzekła Ania, dostosowując się do teatralności wydarzenia – racz zauważyć w swej dobroci, że jestem panną.

Mama, widząc tę scenkę, śmiała się, aż ją brzuch zaczął boleć, bo rzeczywiście wujek Benedykt kultywujący maniery z wieków dawniejszych stylizował się na rycerza, który dba o etykietę w każdym calu.

– Mamo, ale mamę będzie musiał całować w rękę już sześć razy – zauważyła Ania.

Rzeczywiście wujek Benedykt to wyjątkowy oryginał. Każdą kobietę, gdy się witał, całował w rękę. Gdy była mężatką, to w dwie ręce, a dowiedziawszy się, ile dzieci posiada, dodawał tyleż cmoknięć. Mimo że wyglądało to zabawnie i przesadnie, paniom się bardzo podobało, a wujek, bardzo uradowany i szarmancki, był ulubieńcem wielu pań – oczywiście swojej małżonki „przeuroczej i przezacnej”, jak mawiał, w pierwszej kolejności.

Z wujkiem co chwila były jakieś przygody. Kiedyś, gdy przyjechali do jego domu niezapowiedziani, wracając znad morza, Piotrek miał przygodę, którą pamiętał do dziś. Drzwi były otwarte, więc wszedł pierwszy, zanim rodzice wysiedli z samochodu, i stanąwszy w progu, powiedział głośno, aby było słychać, że ktoś wchodzi:

– Dzień dobry.

Był przekonany, że postępuje jak dobrze wychowany chłopiec, zachowując zasady kultury, które jak sądził, będą mile przyjęte w takim domu jak dom wujka rycerza. Jakież było jego zdumienie, gdy na to jakże pokojowe powitanie, zamiast przyjaznej odpowiedzi usłyszał złowieszczy chrzęst broni i przeraźliwy wrzask bojowy wujka:

– Saraceni, Saraceni, psubraty, w progu moim, kto żyw, niech chwyci za broń. Za broń!!!

Struchlały Piotrek już się chciał wycofywać w pośpiechu, widząc pędzącego ku niemu z mieczem i pistoletem wujka, gdy z kuchni wychynęła roześmiana ciocia Bożena, susząc ręce ściereczką i poprawiając włosy, aby przyjąć gości. Wujek ubrany był, jak zawsze w niedzielę, w strój z epoki z przepięknym pasem i srebrnymi guzikami. Tym razem przybrał wyraz groźny i przybliżył miecz do szyi Piotrka:

– Saracenie. Poddaj się, przeżegnaj z szacunkiem, wymieniwszy imię Chrystusa, jeśli ci życie miłe. Bo za taką zniewagę w progu domu mego zapłacić ci będzie trzeba – powiedział poważnie wujek, przystawiając miecz do szyi Piotrka i ściskając wargi pod długim wąsem, bo ledwo mógł utrzymać powagę, tak mu się śmiać chciało.

Przerażony Piotrek nie wiedział, co ma począć. Mina wujka była bardzo groźna, a obok podchodziła roześmiana ciocia. Wszystko wydawało się tak nieprawdopodobne, że nie wiedział, co ma czynić. Na całe szczęście wybawiła go ciocia Bożena, podchodząc i całując go czule. Wyjaśniła mu też, że w ich domu gość powinien przywitać się mówiąc: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, lub Laudetur Iesus Christus, albo podobnym zwrotem, bo zwykle „dzień dobry” było dla wujka zbyt świeckie, żeby nie powiedzieć pogańskie.

Wujek, śmiejąc się, też przytulił Piotrka, mówiąc:

– Zważywszy na wiek twój młody i właściwy brak doświadczenia i wiedzy, dziś ci wybaczam i nie będziesz musiał w lochach mego zamku przebywać. Jednakowoż sprawę rozsądź w swym sercu i je-

śliby ci Imię Chrystusowe, które w domu mym świętym jest uznawane, tobie nie było miłe, lepiej zejdziesz z mych oczu i nie pokazuj się więcej, iżbym nie strzaskał ci czaszki tym oto czerepem – tu pokazał miecz ciężki i ostry, który do pochwy zdążył już być włożony.

Takie słowa i składnia zdań dla wujka to była zabawa. Stylizując się na rycerza z dawnych wieków, chciał przypominać wszystkim historię. A co najciekawsze, udawało mu się żyłkę odtwórcy historii przekazać młodemu pokoleniu, w tym swemu trzynastoletniemu synowi Ksaweremu, który był idolem Piotrka, i dziesięcioletniej Kaśce.

Innym razem śmiechu było też wiele, podczas śniadania, gdy Kolińscy przyjechali na chrzest do wujostwa. Zanim chrzest małego Atanazego się odbył, podczas niedzielnej Mszy zwanej „sumą” odbyło się wspólne niedzielne śniadanie. Śniadanie u wujka było całym ceremoniałem, gdyż chodziło o najważniejszy, jak twierdził wujek, posiłek dnia – wujek zawsze tłumaczył zasady dietetyczne: śniadanie królewskie, obiad książęcy, a kolacja żebraka. Podczas tego długiego posiłku, przy którym dużo się rozmawiało, mama Piotrka przewinęła małego Atanazego, wyręczając ciocię Bożenę. Gdy już czyściutki leżał na łóżku i majtał nogami, mama próbowała go pocałować, taki był miły. Małe dzieci mają tak miękką skórę, że aż się chce je pocałować. A wtem wujek spojrzał srogo i ryknął basem:

– Cóż robisz niewiasto! – skierował się do mamy Piotrka, pani Agnieszki.

– O co chodzi? – spytała zdziwiona i nieco zakłopotana mama – chcę go tylko pocałować, nie jestem chora, nie zarażę go – usprawiedliwiała się mama, nadal zmieszana dziwnym wybuchem wuj-

ka, który jednocześnie ukrywał jakiś dowcip, gdyż było widać, że pod wąsem krył się szelmowski uśmiech. I rzeczywiście wujkowi zupełnie o co innego chodziło.

– Ty nie jesteś chora, ale on tak – odrzekł z przekonaniem.

A gdy na twarzach biesiadujących odmalowało się zdziwienie, które widocznie ucieszyło wujka, wyjaśnił:

– Czyż nie widzisz płocha niewiasto, że ten malec, stworzenie miżerne, jeszcze Bożym się zwać nie może? Toż to poganin godzien śmierci. Dziś po południu obcałować go będziesz mogła dowoli, ale teraz ani go rusz, zanim wody chrztu Pańskiego nie obmyją jego nędznej natury.

– Benek daj spokój – zaoponowała ciocia Bożena, choć wiedziała, że wujek i tak nie przestanie, wszak była niedziela, czas ulubiony prawienia morałów i przypominania starych zwyczajów.

– Przesady dziś nam potrzeba jak wody czystej, kiedy mało kto w ogóle pamięta o zwyczajach drzewiej stosowanych, a szacownych i sens swój pedagogiczny posiadających. Przy chrzcie, poganin ten zostanie wszczepiony w żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa, a zatem w godność się przyodzieje, której nikt mu już w życiu nie wymaże. I wtedy całować go będzie można, bo całować będzie się wtedy Chrystusa. Taka jest niezmienna wiara Kościoła katolickiego i niech się nie waży zmieniać ją ktokolwiek, a tym bardziej białogłowa, która w kwestiach eklezjalnych milczeć powinna: in ecclesia mulier tacet (w kościele kobieta niech milczy).

Wujek mówił z takim patosem, ale śmiejąc się i zabawnie przygryzając wąsa po każdym dłuższym zdaniu, tak że pani Agnieszka już śmiejąc się z politowaniem pokiwała głową, bo też utarczki słowne z wujkiem nigdy nie przynosiły rezultatu.

Cały ten wieczór Piotrek opowiadał Jackowi, jaki to śmieszny jest wujek Benedykt i w jakim niezwykłym miejscu mieszka. Jego dom był nieopodal zamku krzyżackiego. Wujek wieloletnimi staraniami dopiął swego i odbudował go w kształcie, jaki miał w średniowieczu. Wszystkie mury zrobione były z czerwonej cegły, tyle że łączono je już cementem, a nie jak za dawnych czasów wapnem zmieszonym z białkiem jaj kurzych, których było potrzeba setki tysięcy na taką budowlę. W zamku była kaplica, bo Krzyżacy to zakonnicy, którzy mieli kaplicę, z pięknym krzyżowym sklepieniem zrobionym w stylu gotyckim. Wszystko, co się dało, w szczegółach było odrestaurowane. Wujek był naprawdę wielkim pasjonatem. Wymyślił i z kolegami zorganizował zjazd rycerstwa w niedalekim Grunwaldzie, gdzie co roku odbywają się pokazy rycerstwa. Obecnie jest to największy w Polsce, a pewnie i w Europie, zjazd odtwórców historii. Wujek zawsze odgrywa rolę Ulricha von Jungingena, który stoczył walkę z królem Polski Władysławem Jagiełłą 15 lipca 1410 roku i przegrał, ginąc. Więc wujek co roku ginie, ale skoro to jest tylko teatr, to potem wstaje i może dalej żyć. Pasja odtwórstwa historii nie dotyczy tylko okresu pięknego i bogatego w tradycje średniowiecza. Wujek Benedykt uczestniczy także w odtwarzaniu historii z innych okresów, czasami przebiera się za Prusaka czy woja saskiego, husarza, kawalerzystę. Hoduje długą brodę, która potrzebna jest, aby się upodobnić do osób z epoki, i ćwiczy jazdę konną, aby móc jeździć w chorągwi husarskiej. Kiedyś spadł z konia i miał złamany obojczyk, i już ciocia Bożena, która cierpliwie znosi te jego wszystkie pomysły, miała nadzieję, że da sobie spokój z końmi, ale gdzie tam, jak tylko wyzdrowiał, już z kolegami na koniach ćwiczył. Pasja jego była tak silna, że nie mógł wytrzymać, siedząc

z założonymi rękoma. Twierdził z uśmiechem na twarzy, że jemu śmierć nie jest pisana w łóżku. Jak prawdziwy rycerz chce umrzeć na koniu albo co najmniej na polu bitewnym.

Teraz Piotrek i Jacek układali z klocków zamek krzyżacki i wszystkie inne budowle, o których Piotrek pamiętał, że są w Gniewie obok zamku. Chciał Jackowi wszystko możliwie najlepiej pokazać, ale co chwila dodawał: musisz to zobaczyć, musisz to sam zobaczyć.